



SYDNEY 2000



Drugi złoty medal Roberta Korzeniowskiego - Mistrz z Atlanty szedł jak na parady

Dołożyć do pieca

[Rozmowa z Robertem Korzeniowskim](#)



BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI

JANUSZ PINDERA

z Sydney

Robert Korzeniowski wygrał, jak chciał chód na 50 km. To jego drugi złoty medal w Sydney i trzeci w karierze. Wicemistrzem olimpijskim został Łotysz Aigars Fadiejevs, a brązowym medalistą Meksykanin Joel Sanchez. Roman Magdziarczyk był 8.

Jest godzina 9 rano i na stadionie olimpijskim w Sydney nie ma wolnych miejsc. 110 tysięcy ludzi przyszło oglądać eliminacje i moment, gdy najlepsi chodźcy wejdą na bieżnię, by zakończyć walkę o medale na dystansie 50 km. Publiczność jest wspaniała. Ciepła, serdeczna, przyjazna zawodnikom. Ludzie wstają, gdy za oknem jest jeszcze ciemno i wyruszają w długą podróż na obiekty olimpijskie. I tak jest codziennie.

W piątek trener chodźców Krzysztof Kisiel też wstał bardzo wcześnie. Dokładnie o 3.30. Przygotował napoje, batoniki regeneracyjne, żelki. "Jestem od tego, żeby w odpowiednim momencie dołożyć do pieca" - tak wyjaśnia swoją rolę żywiciela zawodników. Kisiel przyznaje, że o taktyce, z takim mistrzem jak Robert Korzeniowski, nie ma sensu zbyt długo rozmawiać. "Korzeń" wie o swoich rywalach wszystko. Ma w głowie bank informacji, a w nogach tysiące kilometrów. Przygotowania do igrzysk w Sydney zaczął w Cetniewie, a później szlifował formę w ciepłych krajach. Złoty medal na 20 km potwierdził, że jest w znakomitej dyspozycji. "Jest zawodowcem. Nie zaniedbał niczego i są efekty", mówi masażysta Korzeniowskiego, Leszek Gumowski. "Jak masuję jego nogi, to czuję w jakiej jest formie. Przed startem na 20 km powiedziałem tylko, że mogę podstemplować obiegówkę. Robert był w strasznym gazie. W sporcie jednak 50 procent sukcesu to psychika. Nie wystarczy mieć nogi i płuca z żelaza. Na szczęście on i nerwy też ma z żelaza", opowiadał Gumowski.

Robert Korzeniowski pospał nieco dłużej od trenera Kisiele. Do szóstej. Poprzedniego dnia oglądał piękny film o podwodnym świecie. Nie mieszkał w wiosce olimpijskiej, ale Krzysztof Kisiel miał z nim kontakt telefoniczny. "Tylko ja i jego żona mogliśmy do niego dzwonić", mówi Kisiel, który przyznaje, że marzył o drugim złotym medalu. Zdawał sobie sprawę, że ten złoty medal "Korzenia" na 20 km załamał rywali. Wbrew pozorom, nie jest łatwo godzić chodzenie na tych dwóch dystansach. Niewielu ze światowej czołówki to potrafi, a Korzeniowski potrafi to najlepiej na świecie.

Od początku Korzeniowski idzie tak, że nikt nie ma wątpliwości, kto w tym towarzystwie jest mistrzem. Dumnie, elegancko, z podniesioną głową. Od początku, jak cień towarzyszy mu Aigars Fadiejevs. Kilka dni temu Łotysz też podjął ryzyko i poszedł na 20 km. Bez sukcesów, ale pokazał, że w tym maratonie będzie się liczył. Szybko idą Meksykanin Miguel Angel Rodriguez i Hiszpan Jesus Angel Garcia. Dobrze poczyna sobie Australijczyk Nathan Deakes i Fin Valentin Kononen. Gdzieś z tyłu, z kilometra na kilometr, przeciska się do przodu drugi z trójki Polaków (był jeszcze Tomasz Lipiec), Roman Magdziarczyk.



Prowadzi Robert Korzeniowski, za nim Meksykanin Joel Sanchez

EPA

Robert Korzeniowski zbyt dobrze wie, że w tej dyscyplinie więcej do powiedzenia od rywali miewają sędziowie. Jedenaście dyskwalifikacji podczas ubiegłorocznych mistrzostw świata jest tego najlepszym przykładem. Dzień wcześniej zdjęli z trasy, zaledwie 120 metrów przed metą, Australijkę Jane Saville. Jej zaplakana twarz zajęła później całą okładkę "The Daily Telegraph". Korzeniowski sprawiał wrażenie, że to go nie dotyczy. Nawet wtedy, gdy złośliwy węgierski sędzia Kovacs dał mu ostrzeżenie. "Korzeń" dzielił i rządził tego dnia. Było pięknie, upalnie, a on szedł jak król. Gdy wchodził na wypełniony po brzegi Stadion Australia miał ponad minutę przewagi nad Łotyszem Fadiejevsem i ponad dwie nad Meksykaninem Joelem Sanchezem.

110 tysięcy ludzi wstało i zgotowało mu owację. Gdy mijał metę spojrzął jeszcze odruchowo na zegarek, wyrzucił do góry ręce, ukłękął i pocałował bieżnię. Łzy wzruszenia popłynęły mu po twarzy. A później wziął biało-czerwoną flagę i tak jak najwięksi mistrzowie tych igrzysk pobiegł rundę honorową. Podczas konferencji prasowej też królował. Nie padło żadne pytanie po polsku. Angielski, francuski, rosyjski. Korzeniowski to poliglota. -

ROZMOWA

Robert Korzeniowski, zdobywca dwóch złotych medali w chodzie sportowym

Dziura w głowie



Fot. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI

ROBERT KORZENIOWSKI urodził się 30 lipca 1968 roku w Lubaczowie. Wzrost 168 cm, waga 62 kg. Żonaty, ma 8-letnią córkę Angelikę. Mieszka w Krakowie.

Jego pierwszym trenerem w MKS Tarnobrzeg był Henryk Żarnowski. W 1985 r. rozpoczął współpracę z Krzysztofem Kisielem. W latach 1987-1993 reprezentował barwy AZS AWF Katowice, a od stycznia 1994 roku jest zawodnikiem Wawelu Kraków i jednocześnie francuskiego Tourcoing. Absolwent katowickiej AWF (1993) z dyplomem trenera drugiej klasy.

Największe sukcesy - Igrzyska Olimpijskie w Atlancie (1996): 50 km - złoty medal, 20 km - 8. miejsce; Igrzyska Olimpijskie w Sydney (2000): 20 km - złoty medal, 50 km - złoty medal. Mistrzostwa świata: Tokio (1991) - 10. miejsce na 20 km, Goeteborg (1995) - brązowy medal na 50 km, Ateny (1997) - złoty medal na 50 km. Mistrzostwa Europy: Split (1990) - 4. miejsce na 20 km, Helsinki (1994) - 5. miejsce na 50 km, Budapeszt (1998) - złoty medal na 50 km. Uniwersjada: Sheffield (1991) - złoty medal na 20 km, Buffalo (1993) - złoty medal na 20 km. Halowe mistrzostwa świata: Toronto (1993) - srebrny medal na 5000 m.

Jakie jest pierwsze uczucie po minięciu mety. Euforia, zmęczenie czy pustka?

ROBERT KORZENIOWSKI: Dziura w głowie. Czujesz wszystko i nic.

Szedł pan pewnie po złoty medal. Od startu do mety. Nawet na chwilę nie dopadł pana żaden kryzys?

Nie. Byłem znakomicie przygotowany. Spoglądałem od czasu do czasu na pomiar pulsu. 172-174 uderzenia na minutę. To dla mnie prawie jak na spacerze. Wiedziałem, że jeśli do 35 kilometra będzie taki puls, to mogę być spokojny. Później już nie patrzyłem.

Kogo się pan obawiał. Meksykanów, Hiszpana Jesusa Garcii, Rosjanina Walerego Spicyna, który przed igrzyskami osiągnął na tym dystansie najlepszy wynik na świecie?

Z Meksykanów musiałem uważać na Miguela Rodrigueza. Spicyna nie brałem pod uwagę. On ten rekordowy czas osiągnął w Rosji. Myślę, że był to typowy straszak.

Taki pan pewny siebie. O strachu nie było mowy?

Ja ich wszystkich znam i wiem, na co ich stać. Groźny na pewno był Łotysz Aigars Fadiejvs, Fin Valentin Kononen, bardzo mocno szedł Australijczyk Nathan Deakes. Kononen zresztą się oszukał: popełnił kilka błędów technicznych i sędziowie zdjęli go z trasy.

Pana też kilka razy w życiu zdejmowali. Był więc chyba powód do obaw, gdy zobaczył pan pierwsze ostrzeżenie?

Węgier Kovacs pokazuje mi kartki od 10 lat. Widocznie nie za bardzo mnie lubi, ale ja już tego nie zmienię. Jak zobaczyłem, od kogo dostałem ostrzeżenie i zapis na czerwonej kartkę, to tylko dodałem gazu. Szedłem szybciej i szybciej, bo wiedziałem, że od innych sędziów nic mi nie grozi.

Na 35 km próbował uciekać Hiszpan Joel Sanchez. Też zachował pan spokój...

Przyśpieszał, kręcił, raz w prawo, raz w lewo. Przyznam szczerze, że nie wiedziałem, o co mu chodzi. Jak się okazało, to był jego łabędzi śpiew.

Pan lubi ciepło i było ciepło.

Bąłem się deszczu. Nie lubię chodzić po kałużach. Pogoda, na szczęście, była wymarzona dla mnie. Rano bardzo rześko, a później coraz cieplej. Warunki selektywne. Spodziewałem się jednak, że tak będzie, stąd moje przygotowania w ciepłych miejscach, w RPA, a później w Brisbane.

W tej rywalizacji pan rozdawał karty. Wyglądało na to, że łatwiej było wygrać na 50 km w Sydney niż w Atlancie.

Chyba tak. Tu wygrywając na 20 km, wyraźnie postraszyłem rywali. Na ostatnich kilometrach pięćdziesiątki szedłem więc już jak na paradzie.

Osiem lat temu, w Barcelonie, szedł pan pewnie po srebrny medal i zdyskwalifikowano pana przed stadionem. Nie myślał pan o tym tu, wchodząc do tunelu?

Byłem czujny. Od początku zresztą zadbałem o każdy szczegół. Estetyczny również. Nie zakładałem czapki, by jej nie poprawiać, jak brałem wodę, to tylko jedną butelkę, choć mogłem dwie. Koszulka nie mogła fruwać, więc ją przypiąłem. To drobiazgi, ale to właśnie one często składają się na ostateczny sukces. Oczywiście popracowałem też nad techniką chodu, wiedząc, jakie robię błędy. Słowem, robiłem

wszystko, żeby się nie dać podprowadzić do faulu.

Co to oznacza?

To wszystko, co powiedziałem wcześniej. Dla niekompetentnego sędziego to sygnał rozpoznawczy, który może sprowokować go do pokazania kartki.

Mówił pan o wodzie. Ile podczas chodu na 50 km wypija pan wody?

Nie liczę dokładnie. Miałem przygotowane 23 butelki, każda po 300 mililitrów. Do tego batony energetyczne i żelki węglowodanowe.

Kiedy podjął pan decyzję, że w Sydney wystartuje na dwóch dystansach?

Po niepowodzeniu na ostatnich mistrzostwach świata w Sewilli. To była ryzykowna decyzja.

Niewielu z tych, którzy szli na 50 km, zdecydowało się na krótszy dystans.

Aigars Fadijevs szedł, ale bez sukcesów.

Liczył pan po cichu na dwa złote medale?

Po cichu może tak.

Dlaczego wyprowadził się pan z wioski po sukcesie na 20 km?

Ponieważ chciałem wygrać na 50 km. Nie mogłem pozwolić sobie na świętowanie.

Kto zadzwonił po biegu z gratulacjami?

Jednocześnie miałem na linii premiera Jerzego Buzka i moją małżonkę Agnieszkę. Były kłopoty z łączami, więc zacząłem rozmawiać z żoną, a później z premierem. To już drugi telefon od niego. Gdy zdobyłem pierwszy złoty medal, zadzwonił o 6 rano czasu polskiego. Teraz o 3 w nocy. Nie ukrywam, że czuję się doceniony i wyróżniony.

A pan do kogo dzwonił?

Za chwilę zadzwonię do rodziców.

Jak pan planuje najbliższą przyszłość?

Na pewno czeka mnie sporo obowiązków publicznych, ale będę musiał bezwzględnie dysponować swoim czasem. Odpoczynek też mi się należy. Cały listopad poświęcę na leczenie sanatoryjne.

Czyli na razie przerywa pan sportowy chód?

Tak dobrze to nie jest. Z Aigarsem Fadijevsem mamy jeszcze jedno zawody do rozegrania - 9 października w Rydze. On mi pozazdrościł tego, co robię na Rynku w Krakowie, a ja nie mogę mu odmówić.

Ma pan na koncie trzy złote medale olimpijskie, tytuł mistrza świata i Europy. Znajdzie pan jeszcze w sobie wystarczająco dużo motywacji, by znów podjąć morderczy trening?

Najważniejsze, by robić to, co się lubi, a ja to lubię. Dalej się czuję zdrowy, w pełni sił, więc nie widzę powodów, by kończyć przygodę ze sportem. Myślałem, że szczyt swoich możliwości miałem cztery lata temu w Atlancie, ale okazuje się, że wtedy byłem dopiero w poczekalni.

Rozmawiał w Sydney Janusz Pindera